

Linia Krowiego Ozora

12 kwietnia 2017

Ameryka znalazła sobie nowego głównego wroga. Pod rządami prezydenta Donalda Trumpa oś geopolitycznej konfrontacji przesuwają się z kierunku USA-Rosja na stosunki amerykańsko-chińskie.

Kiedy nominowany przez Trumpa kandydat na nowego sekretarza stanu Rex Tillerson powiedział podczas przesłuchań w Senacie, że Ameryka powinna odmówić Chińczykom prawa dostępu do baz, jakie zbudowali oni na rafach i wysepkach Morza Południowochińskiego, wielu myślało, że mówi to bez uzgodnienia, starając się w tej próbie po prostu wyjść na twardziela. Kiedy jednak później 23 stycznia podczas briefingu dla prasy, nowy rzecznik prezydenta również powtórzył coś podobnego, to już nie tylko podrażnieni Chinczy, ale i media zachodnie zaczęły się zastanawiać, dlaczego Trump tak rozmyślnie i tak dramatycznie chce zaostrzyć wojskowe stosunki USA z Chinami.

Na wspomnianym briefingu Sean Spicer, sekretarz prasowy Trumpa, zapytany czy zgadza się z uwagami Tillersona odpowiedział: „Jest to kwestia tego, czy te wyspy leżą w rzeczywistości na wodach międzynarodowych i nie są częścią Chin właściwych, a jeśli tak, to owszem, chcemy zapewnić, że bronimy terytoriów międzynarodowych przed przejęciem przez jakieś jedno państwo”.

Niewątpliwie dla Ameryki istnieją ważne powody, aby sprzeciwiać się chińskiej polityce wypychania sąsiednich państw z morskich skał i raf w celu rozbudowy własnych sił morskich, a zwłaszcza budowania na nich sztucznych wysp i lądowisk. W lipcu 2016 międzynarodowy trybunał orzekł, że chińskie „roszczenia historyczne” do Morza Południowochińskiego są bezzasadne, a tym samym w świetle prawa nieważne. Orzeczenie to mówi, że słynna chińska Linia

Dziewięciu Kresek, która na kształt krowiego języka wysięga na 1500 km na południe od chińskiego brzegu i zagarnia dla Chin prawie 90%, czyli cały obszar Morza Południowochińskiego nie ma prawnego uzasadnienia w ramach oenzetowskiej Konwencji Prawa Morza, której Chiny są sygnatariuszem. Sąd oddalił także roszczenia chińskie do wód terytorialnych wokół niektórych skał, pierwotnie widocznych tylko podczas odpływu, na których obecnie Chińczycy pobudowali wyżej wystającą i solidną infrastrukturę wojskową. Sąd potępił również Chiny za pogwałcenie prawa Filipin do wyłącznej 200-milowej (370 km) strefy ekonomicznej od ich brzegu, co obejmuje niektóre ze skał będących przedmiotem sporu, w tym zwłaszcza piaszczystej płycizny Panatag. Jest to tradycyjne miejsce obfitych połowów dla filipińskich rybaków, ale Chińczycy zabronili łodziom i statkom filipińskim jakichkolwiek wizyt w tym rejonie, gdzie pod dnem kryje się ropa i gaz.

Pekin ogłosił obojętnym tonem, że ten werdykt sądu po prostu zignoruje i nadal zwiększa swą obecność, także wojskową, w tym rejonie. Chociaż początkowo zarzekał się, że nie będzie go „militaryzował”, na niektórych skałach pobudował lotniska, hangary dla myśliwców, bunkry z paliwem i urządzenia portowe. W grudniu 2016 chińska marynarka wojenna na krótko przechwyciła (choć potem oddała) podwodnego drona, którego wypuścił amerykański statek badawczy jakieś 50 mil morskich od bazy US Navy w Subic Bay na Filipinach. Z wielką niechęcią Chińczycy traktują też – formalnie legalne – amerykańskie patrole morskie na wodach terytorialnych w pobliżu wybrzeży Chin.

Chińskie media zareagowały na obecne zapowiedzi i pogróżki administracji Trumpa ostrzegając, że – także zgodnie z międzynarodowym prawem – jakakolwiek blokada wysepek południowochińskich z zewnątrz będzie stanowić akt wojny. Dla Waszyngtonu problem polega na tym, że eskalacji takich napięć i zadzierania z Chinami nie życzą sobie nawet amerykańscy sojusznicy w regionie. Filipiny, które za poprzednich rządów

wniosły skargę przeciw Chinom przed wspomniany trybunał międzynarodowy, obecnie zmieniły rząd i ich nowy prezydent – Rodrigo Duterte – zapowiedział, że wycofa tę skargę i uchyli już wydane orzeczenie sądu w tym wymiarze, który dotyczy Filipin. Od początku swego urzędowania Duterte gra na sojusz z Chinami i zerwanie z Ameryką, w wyniku czego odzyskał już dostęp dla swych rybaków na spornym terenie i szykuje większą, strategiczną transakcję w zamian za rezygnację Filipin z płycizny Panatag. Zachęcony tym przykładem ostatnio także Wietnam nagle ogłosił, że woli rozstrzygać swe spory morskie z Chinami w rozmowach dwustronnych (tak jak od początku chciał i chce tego Pekin), a nie poprzez sądy z udziałem Zachodu. Ba, nawet Australia – najbliższy i naturalny sojusznik USA w pobliżu spornego regionu – dystansuje się od zaostrojonej polityki nowego prezydenta z Waszyngtonu.

Już od kilkadziesiąt lat Linia Dziewięciu Kresek, zwana także czasem Linia Krowiego Ozora jest wdrukowywana do serc i umysłów chińskich patriotów i nacjonalistów. Jest ona obecna na każdej mapie Chin, wisi w każdej chińskiej klasie i jest widoczna w każdym chińskim paszporcie. Gdyby miało dojść do blokady, Chiny na pewno łatwo nie ustąpią.

Nie jest jasne, na ile prezydent Trump popiera wypowiedzi Tillersona i Spicera, ale oni sami jakby trochę się od nich teraz dystansują. W czasie oficjalnej wizyty, pierwszej jaką Rex Tillerson złożył jako sekretarz stanu właśnie w Chinach w ogóle nie było mowy o morskiej granicy Chin, i raczej skupiono się na polityce wobec Pjongjangu – zresztą bez żadnego efektu ani zbliżenia stanowisk. Nie da się jednak zaprzeczyć, że stosunek Ameryki do Chin uległ zaostreniu. Sam Trump od razu mocno przegiął pałę flirtując oficjalnie z Tajwanem, czym złamał pekińską zasadę „jednego państwa”, a w dodatku zapowiedział wojnę handlową z Chinami. Brzmi to wszystko wrogo, nawet jeśli oba mocarstwa wydają się być od siebie wzajemnie dość współzależne. Jeśli jednak w ślad za zapowiedziami ze strony Tillersona i Spicera nie nastąpią

czyny, wiarygodność Ameryki zostanie podważona tak jak kiedyś śmiano się z licznych „poważnych ostrzeżeń” Moskwy pod adresem Zachodu.

Trochę litościwą interpretację obecnych pogróżek Waszyngtonu w sprawie Morza Południowochińskiego wysunął Bill Hayton, ekspert z londyńskiego think-tanku Chatham House. Twierdzi on, że chodzi tylko o to, aby powstrzymać Pekin od budowy kolejnej bazy morskiej na wspomnianych rafach, skąd Chińczycy wypędzili flotę filipińską już w roku 2012. W połączeniu z bazami już zbudowanymi na Paracelach i Spratlejach dałoby to flocie chińskiej pełne panowanie na Morzu Południowochińskim. Także i wcześniej administracja Obamy starała się temu przeszkodzić za wszelką cenę.

Czy uda się odwieść Chińczyków od tego planu? Być może. Wywiad satelitarny stwierdza, że prace nad budową sztucznych wysp ustały już kilka miesięcy temu. Obecny flirt Manili z Pekinem także nie sprzyja kontynuowaniu przez Chińczyków operacji o prowokacyjnym charakterze. Ponadto prezydent Xi Jinping zapowiedział, że rok 2017 ma być rokiem stabilizacji, a więc takim, w którym nie ma miejsca na kryzys na Morzu Południowym. Jednakże nieprzyjazna linia, którą wydaje się budować Trump ze względów geopolitycznych (w tym także – jak się wydaje – dla przeciągania Rosji do wspólnego frontu dla obrony przed Chinami) może dać Pekinowi do ręki argument, aby dokończyć fortyfikowanie wysp, które wielkim kosztem i wysiłkiem inżynieryjno-technicznym już przecież utworzyły na Morzu Wielkiego Sporu, jak je czasem nazywa chińska prasa.

Autorstwo: Bogusław Jeznach

Źródło: NEon24.pl